

Spełnianie woli Bożej było mi rozkoszą



OPOWIADA A. H. MACMILLAN

(Wspomnienia opublikowane w języku polskim w Strażnicy nr 14 z roku 1967)

U PŁYNEŁO 66 LAT, odkąd staram się spełniać wolę Bożą, i mogę was zapewnić, że były to lata pełne radości. Czuję się, jak tamten Judejczyk, Dawid, który powiedział: „Spełnianie twej woli, Boże mój, stało mi się rozkoszą.” (Psalm 40:8) Byłem świadkiem tego, jak organizacja Jehowy wzrastała od skromnych początków kiedy mając dwadzieścia trzy lata oddałem się Bogu we wrześniu roku 1900 aby w końcu stać się rozpowszechnionym na cały świat społeczeństwem szczęśliwych ludzi, gorliwie ogłaszających prawdy Boże.

Niewielu członków organizacji Jehowy Boga miało taki przywilej, jaki mnie przypadł w udziale. Żyłem i usługiwałem jako świadek Jehowy podczas trzech różnych epok w historii tej społeczności. Z bliska stykałem się z trzema kolejnymi prezesami Towarzystwa Strażnica i na własne oczy widziałem postęp, jaki lud Boży czynił za ich nadzoru. Chociaż każda z tych epok tak skrajnie różniła się od dwóch pozostałych, jak tylko to sobie można wyobrazić, to jednak każda spełniła swój cel w zamierzeniu Jehowy; kiedy teraz widzę, jak zbliża się kres mojego ziemskiego biegu w służbie Bożej, jestem bardziej niż kiedykolwiek przedtem przekonany, że właśnie Jehowa kierował swym ludem i zawsze w słusznym czasie udzielał mu tego, co było potrzebne.

Byłem świadkiem wielu ciężkich doświadczeń przychodzących na organizację i faktów wypróbowania wierności jej członków. Z pomocą ducha Bożego społeczność ta zwycięsko przechodziła próby i nadal się rozwijała. Przekonałem się, że mądre jest cierpliwe oczekiwanie czasu, w którym Jehowa doprowadzi nas do lepszego zrozumienia pewnych kwestii biblijnych; nie należy tracić równowagi z powodu pojawiania się jakiejś nowej myśli. Niekiedy od określonej daty oczekiwaliśmy więcej niż Pismo nas do tego upoważniało. Podczas gdy oczekiwania nasze się nie spełniały, zamierzenie Boże mimo to pozostawało niezmienione. Podstawowe prawdy, które poznaliśmy z Biblii, pozostały te same. Zrozumiałem więc, że trzeba się przyznawać do swych błędów i w dalszym ciągu badać Słowo Boże, aby uzyskać jaśniejsze światło. Niezależnie od tego, jakich poprawek byśmy musieli od czasu do czasu dokonać w swoich poglądach, miłosierne zrządzenie co do okupu i Boska obietnica życia wiecznego nie ulegają zmianie. Zatem nie mieliśmy podstaw, aby z powodu niespełnionych oczekiwań lub zmiany poglądów dopuścić do osłabienia swej wiary.

Przypominam sobie wykład, jaki wygłosiłem w roku 1914 na kongresie w Saratoga Spring (stan Nowy Jork). Przemawiałem na temat: „Wszystkiemu koniec się przybliża; przeto bądźmy trzeźwymi i czujnymi ku modlitwom”. Sam wierzyłem szczerze, że w październiku kościół zostanie „stąd zabrany”. W trakcie tego przemówienia zdarzyło mi się wtrącić taką oto niefortunną uwagę: „Prawdopodobnie wygłaszam dziś ostatni swój wykład publiczny, ponieważ wkrótce będziemy stąd zabrani.”

Rankiem następnego dnia 500 z nas powróciło do Brooklynu, gdzie miało się odbyć zamknięcie kongresu. Spora część uczestników zatrzymała się w Domu Betel. Kiedy w piątek rano wszyscy siedzieliśmy przy stole, czekając na śniadanie, nadszedł brat Russell. Wchodząc do jadalni zazwyczaj zatrzymywał się na moment w drzwiach, mówiąc pogodnie: „Dzień dobry wszystkim.” Ale tego poranka energicznie klasnął w dłonie i z radością oznajmił: „Skończyły się czasy pogan; dni ich królów są policzone.” Brat

Russell zajął miejsce na czele stołu i podał kilka uwag, ale potem dobrodusznie zaczął ze mnie trochę pokpiwać.

Brat Russell powiedział: „Zmienimy nieco program na niedzielę. W niedzielę o godzinie 10,30 wygłosi nam przemówienie brat Macmillan.” Wszyscy uśmieali się serdecznie, przypominając sobie, co powiedziałem we środę w Saratoga Springs: że to ‚mój ostatni wykład publiczny‘. Musiałem teraz pospiesznie rozejrzeć się za tematem, który bym miał omówić. Znalazłem Psalm 74:9: *„Znaków naszych nie widzimy; już nie masz proroka i nie masz między nami, który by wiedział, póty to ma trwać.”* Był to więc już inny punkt widzenia. W trakcie tego wykładu starałem się wyjaśnić braciom, że niektórzy z nas może odrobinę zbyt pochopnie myśleli o tym, iż natychmiast pójdziemy do nieba, oraz że pozostaje nam pilnie się udzielać w służbie Pańskiej, aż On wyznaczy porę, w której ten czy ów z Jego uznanych sług zostanie stąd zabrany do nieba. Chociaż nasze oczekiwania w sprawie zabrania nas do nieba nie spełniły się w roku 1914, to jednak zgodnie z przewidywaniami skończyły się wtedy „czasy pogan”. Zatem nie wszystkie nasze nadzieje, związane z tym rokiem, okazały się płonne. Wcale zresztą nie zostaliśmy szczególnie zaniepokojeni tym, że nie wszystko poszło w myśl naszych oczekiwań, ponieważ byliśmy pilnie zajęci pracą związaną z *Fotodramą*, jak również problemami powstałymi na skutek wojny.

PRZEWIDYWANE ROZSZERZENIE DZIEŁA GŁOSZENIA

Brat Russell zdawał sobie sprawę z tego, że chociaż poszczególne członkowie duchowego stadka pozostali jeszcze na ziemi, nie ma to jednak wpływu ani nie zmienia ustalonej pory, kiedy miał nastąpić kres nieprzerwanej władzy narodów, czyli koniec „czasów pogan”. Niejednokrotnie zaznaczał z naciskiem: „Teraz kolej na ustanowienie chwalebego Królestwa z władzą spoczywającą w ręku wielkiego Pośrednika”, to jest Syna Bożego. Pogląd ten spowodował powstanie w naszych umysłach mnóstwa pytań. Między innymi interesowała nas kwestia: Jak spełnią się słowa

z Ewangelii według Mateusza 24:14 co do zakrojonego na skalę ogólnoswiatową obwieszczenia dobrej nowiny o Królestwie Bożym?

W związku z tym przypominam sobie zdarzenie, które miało miejsce na krótko przed śmiercią brata Russella. Brat ten godziny między 8 rano a południem zazwyczaj spędzał w swoim gabinecie, przygotowując artykuły do *Strażnicy* oraz inne opracowania, które wymagały wnikania w treść Biblii. W tym czasie nikt nie zbliżał się do jego gabinetu, chyba że go zawezwano lub miał do załatwienia bardzo pilną sprawę. Jakieś pięć minut po ósmej zbiegł po schodach stenograf i powiedział do mnie: „Brat Russell chciałby z tobą pomówić w gabinecie.” Pomyślałem: „Cóż to takiego znowu zrobiłem?” Wezwanie do gabinetu z rana oznaczało coś ważnego.

Poszedłem do gabinetu. „Wejdz, bracie”, usłyszałem. „Przejdź proszę do saloniku” był to pokój przyległy do gabinetu. Brat Russell rzekł: „Powiedz mi, bracie, czy twoje zainteresowanie prawdą jest nadal tak samo głębokie, jak na początku?” Popatrzyłem na niego zaskoczony. „Nie bądź taki zdziwiony, to tylko wstępne pytanie”, mówił dalej. Następnie przedstawił mi swój stan zdrowia, a ponieważ znałem się nieco na diagnozie, sam widziałem, że jeśli nie zostanie trochę odciążony, pożyje jeszcze zaledwie kilka miesięcy. Dodał potem: „Oto, co chciałem ci powiedzieć, bracie: Nie jestem w stanie dalej prowadzić dzieła, a jest jeszcze do wykonania dużo pracy. Czeka nas dzieło na skalę całego świata.” Pozostałem u niego przez trzy godziny, a brat Russell przedstawił mi rozległe dzieło głoszenia, które jak dziś widzę, jest obecnie przez lud Jehowy wprowadzone w czyn. A on widział je wtedy na podstawie tego, czego się dowiedział z Biblii.

„Bracie Russell” powiedziałem „w tym, co mówisz, coś mi się nie zgadza. Wydaje mi się to trochę pozbawione sensu.”

„Co chcesz przez to powiedzieć?” zapytał.

„Spodziewasz się śmierci, a dzieło ma być prowadzone dalej?” odparłem. „Przecież skoro ty umrzesz, to my wszyscy w spokoju ducha opuścimy ręce i będziemy czekać, aż zostaniemy zabrani do nieba, tak samo jak ty. Wtedy niczego więcej już nie dokonamy.”

„Bracie” powiedział „Jeżeli jesteś takiego zdania, to nie zdajesz sobie sprawy z istoty rzeczy. Dzieło to nie jest dziełem człowieka. Moja osoba nie jest tutaj ważna. Światło świeci coraz jaśniej. Pozostała jeszcze do wykonania wielka praca.”

Nie miałem racji twierdząc, że po Jego śmierci nic więcej nie uczynimy, tylko założymy ręce. Dzieło rozwijało się dalej i z biegiem czasu zaczęliśmy pracować nawet jeszcze intensywniej. Ogrom pracy wykonywanej obecnie przez lud Jehowy najlepiej świadczy o tym, jak bardzo się myliłem. Rzeczywiście, to nie jest dzieło ludzkie.

Po przedstawieniu w zarysie przyszłego dzieła, brat Russell powiedział: „Rad byłbym, żeby teraz ktoś przyszedł w to miejsce i przejął na siebie brzemię odpowiedzialności. Nadal będę kierował dziełem, lecz nie jestem w stanie angażować się tyle, co w przeszłości.” W związku z tym rozważaliśmy kwalifikacje kilku różnych osób. Kiedy wreszcie wychodziłem z gabinetu na korytarz przez rozsuwane drzwi, brat Russell zawołał jeszcze za mną: „Chwileczkę! Pójdź teraz do swego pokoju i przedstaw Panu całą sprawę w modlitwie, a potem wróć i powiedz mi, czy tego zadania podejmie się brat Macmillan.” Zasunął drzwi, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

Pamiętam, jak stałem tam wpół oszołomiony. Czyż potrafiłbym ulżyć bratu Russellowi w pracy? Dzieło wymagało człowieka obrotnego, mającego zdolności organizacyjne, a ja znałem się tylko na tym, jak głosić ewangelię. Przemyślałem jednak sprawę i po powrocie powiedziałem: „Bracie Russell, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy. Bez względu na to, gdzie mi wyznaczysz miejsce.” Przekazał mi więc odpowiedzialność, gdy wyruszał w podróż do Kalifornii, z której już nie powrócił. Zmarł we wtorek, dnia 31 października 1916 roku, jadąc koleją do miejscowości Pampa (stan Teksas).

Cóż to był za wstrząs! Kiedy następnego poranka odczytałem Rodzinie Betel przy śniadaniu telegram o śmierci brata Russella, przez całą jadalnię przeszedł odgłos głębokiego westchnienia.

Pracowaliśmy po prostu dalej według swych najlepszych możliwości, nie wiedząc właściwie, dokąd zmierzamy. Spróbowałem wyjaśnić braciom to, co brat Russell mówił o wielkim dziele przed nami, lecz oni odpowiedzieli: „Ale kto ma się tym zająć?”

WYBORY NOWEGO PREZESA

Utworzyliśmy więc komitet wykonawczy; w skład jego weszli: skarbnik, wiceprezes oraz ja z bratem Rutherfordem, który został przewodniczącym. Komitet ten prowadził dzieło do czasu wyborów oficjalnych funkcjonariuszy, wyznaczonych na styczeń roku 1917. Wyłoniła się teraz kwestia obsadzenia stanowiska prezesa Towarzystwa Strażnica. Pewnego dnia przyszedł do mnie brat van Amburgh i zapytał: „Bracie, jakie też jest w tej sprawie twoje zdanie?” Odpowiedziałem: „Moim zdaniem nadaje się do tego tylko jedna osoba, bez względu na to, czy ci się to spodoba. Tylko jeden człowiek może obecnie wziąć na siebie odpowiedzialność za dzieło, a tym jest brat Rutherford.” Ujął mnie za rękę i rzekł: „Zupełnie podzielam twoje zdanie.” Brat Rutherford nie wiedział nic o tym wszystkim. Nie zabiegał też o niczyje głosy. Kiedy nadeszły wybory, obrano go prezesem, którym pozostał aż do chwili śmierci w dniu 8 stycznia 1942 roku.

Z bratem Rutherfordem zetknąłem się po raz pierwszy w roku 1905, kiedy wspólnie z bratem Russellem odbywaliśmy podróż po Stanach Zjednoczonych. Bracia w Kansas City chcieli nam zgotować serdeczne przyjęcie. O pomoc w tym zwrócili się do sędziego Rutherforda z Missouri. Wiedzieli o nim tylko tyle, że posiadał tomy *Wykładów Pisma Świętego*. Przybył jednak i podejmował nas z bratem Russellem, dzięki czemu poznaliśmy się bliżej. Po jakimś czasie wracałem tą samą drogą i zatrzymałem się u sędziego Rutherforda na jeden czy dwa dni. Powszechnie nazywano go „sędzią”, ponieważ przez pewien czas pracował jako sędzia specjalny w Czternastym Okręgu Sądowym w Missouri. Powiedziałem więc do niego: „Panie sędzio, powinien pan tutaj głosić prawdę.”

„Nie jestem przecież kaznodzieją” odpowiedział. „Jestem prawnikiem.”

„A więc, panie sędzio” odrzekłem „powiem panu, co pan mógłby zrobić. Weźmie pan egzemplarz Biblii świętej, zaprosi małą grupę ludzi i pomówi z nimi o życiu, śmierci i przeszłym życiu. Wykaże im pan, z jakiego źródła pochodzi nasze życie, dlaczego dostaliśmy się pod władzę śmierci i co oznacza śmierć. Proszę powołać się na świadectwo Biblii i zakończyć słowami: „To wszystko, co miałem do powiedzenia, zupełnie tak samo, jak uczyniłby to pan w zakończeniu przemówienia do ławy przysięgłych.”

„To brzmi wcale nieźle” usłyszałem w odpowiedzi.

Na małej farmie w pobliżu jego domu na peryferiach miasta gospodarzył pewien czarnoskóry rolnik. Pracowało u niego jakieś piętnaście do dwudziestu kolorowych ludzi, kiedy tam podszedł sędzia Rutherford, aby im wygłosić kazanie „O życiu doczesnym, śmierci i życiu przyszłym”. Podczas tego przemówienia słuchacze od czasu do czasu przerywali mu słowami: „Chwalmy Boga, panie sędzio! Skąd pan to wszystko wie?” Przeżył tam wielką radość. Był to jego pierwszy wykład biblijny. Jako prezes Towarzystwa wygłosił ich potem o wiele więcej, a radio rozniosło je na cały świat. Niedługo później, w roku 1906, miałem przywilej ochrzcić go w Saint Paul (stan Minnesota). Należał do 144 osób, które osobiście ochrzciłem w wodzie owego dnia. Kiedy więc został prezesem Towarzystwa, miałem szczególny powód do radości.

UWIĘZIENIE

W roku 1918 przyszło mi stawić czoło poważnej próbie. Zaatakował nas Departament Sprawiedliwości; spowodował osadzenie ośmiu braci w więzieniu przy Raymond Street w Brooklynie. Złożyliśmy kaucję i na wolnej stopie oczekiwaliśmy rozprawy. Akt oskarżenia zarzucał nam pogwałcanie ustawy o szpiegostwie z 15 czerwca 1917 roku. Z racji naszego biblijnego dzieła wychowaw-

czego oskarżono nas o działalność konspiracyjną, zmierzającą do powstrzymania Stanów Zjednoczonych od powołania armii.

W trakcie rozprawy sądowej przedstawiciel rządu oświadczył, że nawet jeśli ktoś by stał na rogu ulicy i powtarzał „Ojcie nasz” z zamiarem odstręczenia ludzi od wstąpienia do armii, może on być osadzony w zakładzie karnym. Widać z tego, jak łatwo było wówczas wmawiać komuś taki czy inny zamiar. Władze uznały, że można z góry wiedzieć, o czym ktoś myśli, i na takiej podstawie występowały przeciwko nam, chociaż oświadczyliśmy, że nigdy i nigdzie nie zawiązywaliśmy żadnego spisku, który by w jakikolwiek sposób dotyczył poboru do wojska, ani też nigdy nie powstrzymywaliśmy nikogo od wstąpienia w szeregi armii. Na nic się to jednak nie zdało.

Pewni przywódcy religijni chrześcijaństwa, jak również ich poplecznicy polityczni, zdecydowani byli nas się pozbyć. Prokurator za zgodą sędziego Howe'a zażądał wyroku skazującego, upierając się przy tym, że pobudki naszego działania są bez znaczenia, a poza tym intencji można się domyślać po naszych czynach. Mnie uznano za winnego jedynie na tej podstawie, że kontrasygnowałem czek, którego celu nie udało się sądowi ustalić, jak również za to, że podpisałem sprawozdanie, które brat Rutherford odczytał kiedyś na zebraniu zarządu. W tym wypadku nawet nie zdołano udowodnić, że to był mój podpis. Tak jawne pogwałcenie sprawiedliwości pomogło nam później przy wnoszeniu apelacji.

Zostaliśmy za winy niepopelnione skazani na osiemdziesiąt lat więzienia. Wszystkich nas podciągnięto pod cztery artykuły i z każdego wymierzono nam po dwadzieścia lat; terminy wyroków miały biec jednocześnie. Znaczyło to, że w zakładzie karnym Atlanta mam odsiedzieć dwadzieścia lat.

Uprzedzony sędzia odmówił przyjęcia kaucji po wniesieniu naszej apelacji. Musieliśmy więc pójść do więzienia. Dziewięć miesięcy później za radą sędziego Louisa D. Brandeisa z federalnego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych nasi adwokaci zwrócili się ponownie do okręgowego sądu apelacyjnego w Nowym Jorku z prośbą o zezwolenie na złożenie kaucji. Prośbę przyjęto

21 marca 1919 roku, a 14 maja owego roku sąd ten uchylił decyzję pierwszej instancji.

W uzasadnieniu tego postanowienia sędzia Ward oświadczył: „W stosunku do oskarżonych nie przeprowadzono w tym wypadku rzeczowego i bezstronnego postępowania dowodowego, do jakiego oskarżeni mieli prawo, i z tej racji wyrok zostaje uchylony.” Wysiłki naszych wrogów, aby z pomocą prawa uknuć krzywdę, spełzły na niczym. Nie udało im się usunąć nas na 20 lat, ani zniszczyć dzieła Pańskiego.

Po przybyciu do zakładu karnego w Atlancie zastępca naczelnika powiedział do nas: „Macie tu panowie pozostać przez długi czas. Chcemy wam dać jakieś zajęcie. Co w takim razie umiecie?”

Powiedziałem mu: „Ja całe życie tylko pracowałem jako kaznodzieja. Czy i tu mógłbym otrzymać takie zadanie?”

„Nie, drogi panie” odpowiedział. „Przecież właśnie za to was tu przysłano. Oświadczam panom, że tutaj nie będziecie wygłaszać kazań.”

Po pewnym czasie jednak wprowadzono niedzielną szkółkę biblijną, w której więźniów podzielono na różne grupy. Mnie przydzielono grupę około 15 więźniów żydowskich. Brat Rutherford również otrzymał podobną grupę. Zresztą każdemu z nas dano taki przydział. Program kursu opierał się na „Kwartalniku lekcji niedzielnych”. Nasze wykłady zaczęły się od Abrahama oraz obietnic danych jemu, a potem Izaakowi i Jakubowi. Bardzo mi to odpowiadało. Pewnego dnia spotkał mnie na dziedzińcu zastępca naczelnika i powiedział: „Macmillan, pańskie lekcje są cudowne. Przysłuchuję się każdej z nich i sądzę, że po pewnym czasie zaprowadzi pan wszystkich tych Żydów do Ziemi Obiecanej.”

„Kiedy przybyłem tutaj” wtrąciłem „powiedział pan, że nie będziemy głosić.” „O, niechże pan o tym zapomni” odpowiedział.

Kiedy wybuchła epidemia grypy, musieliśmy przerwać te studia w szkółce niedzielnej. Zanim jednak opuściliśmy więzienie, brat Rutherford wygłosił do uczestników kursu 45-minutowe przemówienie pożegnalne.

Obecni byli również niektórzy urzędnicy administracji więziennej. Niejednemu z tych mężczyzn łzy popłynęły po policzkach. Byli głęboko poruszeni. Pozostawiliśmy w więzieniu małą grupę takich, którzy zachowali wierność.

Innym godnym uwagi wydarzeniem z czasu naszego pobytu w więzieniu były kolejne wybory oficjalnych przedstawicieli Towarzystwa.

Kiedy nadszedł dzień wyborów, brat Rutherford wyraził obawę, że szemracze z szeregów organizacji, którzy dopomogli naszym przeciwnikom religijnym i politycznym do osadzenia nas w więzieniu, spróbują chyba objąć kierownictwo nad Towarzystwem, aby je zniszczyć. Odpowiedziałem mu, że skoro nie możemy tam być, aby swą obecnością wywrzeć wpływ na wybory, przynajmniej nadarza się okazja, by Pan wykazał, kogo zechce widzieć na stanowisku prezesa Towarzystwa.

Następnego rana zastukał do ściany celi i powiedział: „Wystaw rękę.” Kiedy to zrobiłem, wręczył mi telegram, który zawierał wiadomość, że został ponownie wybranym prezesem. Nieco później tego samego dnia mówił do mnie: „Chcę ci coś powiedzieć. Wspomniałeś wczoraj coś, o czym nie przestaję myśleć. Mówiłeś, że jesteśmy postawieni w miejsce brata Russella i że wywarlibyśmy wpływ na wybory, gdybyśmy byli w Pittsburgu, a Pan nie miałby wtedy możliwości wykazania, kogo wolałby widzieć na tym miejscu. Otóż, bracie, jeżeli kiedykolwiek się stąd wydostanę, to z Bożą pomocą skończę raz na zawsze z takim ubóstwianiem ludzi. Wezmę miecz prawdy Bożej i wypruję nim wnętrze staremu Babilonowi. On ponosi odpowiedzialność za to, że tutaj jesteśmy, ale wydostaniemy się stąd.”

Od czasu wypuszczenia z więzienia aż do chwili śmierci pozostał wierny temu przyrzeczeniu, obnażając niegodziwości Babilonu Wielkiego, ogólnoswiatowego systemu religii fałszywej. Pobyt w więzieniu, jak również wiele innych doświadczeń, jakie przeżyliśmy z powodu pewnych egoistycznych osób, które porzuciły społeczność i przysparzały nam wiele kłopotów, nie osłabiły we



Ośmiu braci z Biura
Głównego po
wyjściu z więzienia.
A. H. Macmillan
w pierwszym
rzędzie po lewej

mnie wiary. Wiara moja wzmacniała się coraz bardziej, ponieważ wiedziałem z Biblii, że naśladowcy Chrystusa będą mieli do pokonania trudności i przeszkody. Wiedziałem, że to Diabeł usiłuje zahamować dzieło Pańskie, lecz jego zamiary spełzną na niczym. Tak więc próby, które przysły na nas, i dowody nienawiści ze strony ludzi, którzy kiedyś byli naszymi braćmi, nie były dla mnie zaskoczeniem. Tego należało się spodziewać. Nie zachwiało to mojej wiary w prawdę ani nie podważyło zaufania do organizacji Jehowy.

PODRÓŻE

Miałem przywilej odbyć z polecenia Towarzystwa wiele podróży w celu zachęcenia braci i podtrzymania ich zainteresowania prawdami Słowa Bożego. Dnia 12 sierpnia 1920 roku wraz z bratem Rutherfordem i innymi przedstawicielami Towarzystwa udałem się na pokładzie parowca „Imperator” do Europy. Była sobota,

21 sierpnia, kiedy po południu wylądowaliśmy w Anglii. Przejechaliśmy Anglię wzdłuż i wszerz, wygłaszając wykłady w wypełnionych po brzegi salach.

Pięć lat później, w roku 1925, odbyłem z bratem Rutherfordem dalszą podróż po Europie, przy czym dotarłem aż do braci w Polsce.

Ponieważ byliśmy zainteresowani głoszeniem dobrej nowiny o Królestwie Bożym wśród Żydów, miałem przyjemność odbyć specjalną podróż do ówczesnej Palestyny.

Wyruszyłem tam 12 marca 1925 roku na pokładzie statku „Prezydent Arthur”. Miałem możliwość przemawiać w Palestynie o zamierzeniach Bożych oraz zwiedzić miejsca, gdzie głosił Jezus. W miarę upływu lat mnożyła się liczba podróży które z ramienia Towarzystwa odbyłem po Stanach Zjednoczonych. W czasie drugiej wojny światowej przez pewien okres spoczywał na mnie obowiązek obsługiwanego obwodu obejmującego 21 więzień. Co 6 tygodni odwiedzałem braci zamkniętych w tych więzieniach, ponieważ odmówili pogwałcenia chrześcijańskiej neutralności. Za każdym razem przebywałem trasę długości ponad 20.000 km. Było to zadanie wymagające wiele wysiłku, lecz związane z nim radości daleko przewyższały nieprzyjemności, jakie niekiedy musiałem znosić.

PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Przez ostatnie dwa dziesięciolecia miałem przyjemność współpracować z trzecim prezesem Towarzystwa, bratem Knorrem. Niestety, sędziwy wiek bardzo ograniczył zakres pracy, jaką mogę wykonać. Zanim rozpocząłem odwiedzanie więzień, pełniłem przez kilka lat służbę pionierską, a w roku 1941 zostałem pionierem specjalnym. Kiedy w roku 1942 prezesem został brat Knorr, otrzymałem zadanie odwiedzania więzień, a potem w roku 1947 zostałem sługą okręgu. W roku 1948 powróciłem do Domu Betel i w grudniu tegoż roku podjąłem pracę związaną z nadawaniem

audycji przez WBBR, rozgłoszeń radiową Towarzystwa. Brałem udział w nadawaniu codziennego programu, podczas którego wspólnie z pewną młodą siostrą, występującą jako moja siostrzenica, omawialiśmy kolejne odcinki Biblii. Przedyskutowaliśmy w ten sposób całą Biblię, werseć po wersecie.

Ostatnie lata były dla mnie dość poważną próbą, ponieważ nie potrafię już być tak aktywnym w pracy Pańskiej, jak kiedyś; mimo wszystko nadal regularnie chodzę na zebrania. Prowadzę ustawiczną walkę ze zniechęceniem. Z powodu podupadłego zdrowia wydaje mi się niekiedy, że Diabeł usiłuje wypróbować mnie tak samo, jak niegdyś Hioba. Wiem jednak, że tak jak Hiob muszę do końca zachować niezłomność. Niełatwą rzeczą było dla mnie oglądać, jak inni, którzy przebywali ze mną w zakładzie karnym w Atlancie, dostępowali nagrody niebiańskiej, podczas gdy ja wciąż jeszcze pozostaję tutaj na ziemi. Jestem ostatnim z tej grupy.

Dobiegając teraz 90 lat, mogę spojrzeć wstecz na swoje życie i powiedzieć, że gdyby mi było dane przeżyć je na nowo, nie wybrałbym żadnego innego zajęcia. Wręcz przeciwnie, pracowałbym z jeszcze większym zapałem i gorliwością.

Z biegiem lat przeżywałem niejedną próbę i musiałem poczynić szereg poprawek w swoim zrozumieniu Słowa Bożego, lecz nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby to u mnie zachwiać wiarę. Takie poprawki są konieczne dla duchowego wzrostu chrześcijanina, ponieważ Bóg z upływem czasu zezwala, aby na Jego Słowo padało coraz więcej światła. Żadna jednak zmiana zrozumienia nie podważyła takich podstawowych prawd jak: okup, zmartwychwstanie, czy też Boska obietnica życia wiecznego. Nie zmieniła się wiarygodność przyrzeczeń Bożych, jasno zapisanych w Jego Słowie. Zatem wiara moja jest dziś tak samo silna, jak była zawsze.

Chociaż stale pragnąłem pozostawać w służbie Bożej, to jednak zdarzały się okresy próby, kiedy potrzebowałem zachęty. Do tekstów biblijnych, które były dla mnie taką zachętą, należą słowa zanotowane przez naszego umiłowanego brata Pawła w Liście

do Filipian 4:6, 7: „*Nie troszczcie się o nic, ale we wszystkim w modlitwie i błaganiach z dziękczynieniem powierzcie prośby wasze Bogu. A pokój Boży, który przewyższa wszelki rozum, strzec będzie serc waszych i myśli waszych w Chrystusie Jezusie.*” Sam tego doświadczyłem, że tylko wtedy możemy zaznać pokoju, kiedy polegamy na Bogu oraz ufamy Jemu i Jego Słowu.

Kiedy się zastanawiam, jak wielkie dzieło lud Boży wykonuje w dobie obecnej, wtedy nabiera dla mnie nowego znaczenia werset z Psalmu 110:3, który mówi: „*masz swój orszak młodzieńców niczym krople rosy.*” Lud Boży jest podobny do orzeźwiających kropeł rosy, obficie napawającym suchą glebę; pełni tę rolę przy nauczaniu prawd Bożych, składając w tym celu częste wizyty.

Z drugiej strony znałem głosicieli ewangelii podobnych do gwałtownej ulewy, która spada na wypalony grunt, lecz szybko przemija, pozostawiając ziemię nadal suchą. Zalewali oni społeczność wiernych, a później znów odchodzili.

Wspaniały rozwój organizacji Jehowy, którego byłem świadkiem, jak również zakrojone na skalę ogólnoswiatową głoszenie dobrej nowiny o Królestwie, które obserwuję dziś, uważam za cudowny punkt kulminacyjny mojej własnej długoletniej działalności kaznodziejskiej. Współpracę z trzema prezesami Towarzystwa oraz własny mój udział w tym rozwoju cenię sobie jako wielki przywilej. Mogę teraz właściwie rozumieć uwagę poczynioną przez brata Russella w czasie naszej ostatniej rozmowy, kiedy powiedział: „*Bracie, to nie jest dzieło człowieka, lecz dzieło Boże.*” Spełnianie woli Bożej podczas minionych 66 lat rzeczywiście było mi rozkoszą.

